

Xerion

W niedalekiej przyszłości rozegrała się w Europie wyniszczająca wojna. Zachodni przywódcy nie docenili tajemniczej Wunderwaffe wielkiego cara ze Wschodu. Przegrywając sromotnie konflikt zbrojny z przygranicznym państwem, które planował zająć w ciągu trzech dni, sięgnął po broń, jakiej świat dotychczas nie widział. Mająca swoją genezę w radzieckich laboratoriach idea zacządkowania przeciwnika przyniosła spektakularne skutki. Wzdłuż granicy z państwami Sojuszu Północnoatlantyckiego rozstawiono olbrzymie wentylatory, które generowały potężny wschodni wiatr, ochrzczony mianem Oddechu Stalina. W jego skład oprócz powietrza wchodził tajemniczy gaz, który miał zdolność reagowania z cząstkami stałymi smogu unoszącymi się w powietrzu. Początkowo aliancka generalicja wyśmiewała ten pomysł kontrataku jako niedorzeczny, ale szybko okazało się, jak bardzo się myliła...

Marian był człowiekiem niewidzialnym. To znaczy można go było zobaczyć, ale brak jakiegokolwiek charakterystycznej cechy wyglądu, sposobu mówienia czy ubrania, powodował że ktokolwiek go spotkał, bardzo szybko o nim zapominał. Gdyby zapytać jego żonę o naszkicowanie małżonka, prawdopodobnie też miałaby trudności. Od wielu lat pracował w swoim niepozornym warsztacie samochodowym. Dni spędzał wśród metalowych puszek i węglowych osadów, oczyszczając filtry cząstek stałych. Praca była trudna i brudna, ale on wierzył, że swoim działaniem przyczynia się do ratowania siebie, swojego otoczenia i całego świata z trujących części sadzy. Roił sobie, kiedy nie mógł zasnąć, że kiedyś za tę robotę dostanie nagrodę Nobla. Marian pracował z precyzją złotnika. Każdy filtr był dla niego indywidualnością, którą trzeba było zrozumieć i odpowiednio potraktować. Czyścił je w specjalnej pralce, którą kiedyś kupił od włoskiego wynalazcy. Ulubioną maszynę, którą czule nazywał Franią, potrafił z zamkniętymi oczami rozłożyć na śrubki i bez użycia prawej ręki poskładać z powrotem. Gdy był sam w hali, włączał stareńki zestaw hi-fi i słuchał muzyki w Radiu Pogoda. Znane melodie towarzyszyły mu w pracy, tworząc atmosferę spokoju i skupienia. Czuł się spełniony. W wolnych chwilach toczył małe rzeźby z węglowych osadów, które uprzednio wypłukał z filtrów. Zaczął od tworzenia szachowych pionków, a gdy na dobre opanował warsztat, zaczął tworzyć trudniejsze figury i inne niepowtarzalne artefakty, jak miniatutki samochodziki, smoków i wszystkiego co dawało się efektownie odtworzyć w mniejszej skali.

Dzięki udanemu pożyciu małżeńskiemu z małżonką Ryszardą Marianowi urodził się syn - Siemek. Nie przejawiał on nadzwyczajnej fascynacji regeneracją katalizatorów ani filtrów cząstek stałych. Działanie li tylko fizycznych sił znajdował jako prymitywne. Jego pasją był chemia. Uzmysłowił sobie pewnego dnia, że dopiero połączenie fizyki z chemią daje przyjemność. Wyprowadził następujący wzór: $F + CH = S$ (satysfakcja). Potwierdził tę zależność w różnych aspektach – również seksualnych, choć był raczej typem laboratoryjnego szczurka niż Casanovy. Chociaż z jakiegoś prozaicznego powodu nie ukończył studiów na wydziale chemicznym uniwersytetu, miał w sobie pasję eksperymentatora, której mogła mu zazdrościć większość studentów, a nawet profesorów tej uczelni. Mając do dyspozycji rozmaite maszyny w warsztacie ojca, które były jednakowoż zdolne rozgrzewać, zwiększać ciśnienie i mieszać różne substancje, każdą wolną chwilę wykorzystywał na doświadczenia. Niepozorny umysł Siemka, nie znając dobrze ugruntowanych zasad klasycznej akademickiej chemii, pchał go w coraz to nowsze kombinacje i pomysły tworzenia roztworów i materii. Pozwalał sobie wlewać kwas do wody i czynić insze wariacje, od których Maria Skłodowska przewracałaby się w grobie. Aż wreszcie stało się to.

Podczas jednego z warsztatowych eksperymentów wysadziło zaślepkę od któregoś z węży. A może jej tam w ogóle nie było? W każdym razie nastąpiła pilna potrzeba zaślepienia rzeczony końcówki, ponieważ cały nastaw już zaczynał buzować, a ciśnienie wyraźnie uciekało przez wąż, niemożliwie głośno piszcząc. Siemek chwycił najbliższy obły kształt, który znalazł się pod ręką – tak się złożyło, że był to jeden z pionów szachowych ulepionych czy utoczonych przez ojca.

– Naści, piesku, kielbasy! – zawołał, wciskając go w otwór. Pionek był czarny. To oczywiste, biorąc pod uwagę jego budulec. Czy ojciec robił tylko czarne figury? Wcześniej nad tym nie myślał, ale skoro wszystkie były z sadzy, to nie mogło być inaczej. Może na antypodach z jakiegoś jasnego ulepka ojcowy oponent dziergał tylko białe figury? Jakkolwiek było, kwestia polaryzacji szachowych bierek nie zaprzętała młodego umysłu długo. Znacznie bardziej fascynowało go to, co dzieje się z roztworem poddanym ekstremalnemu - jak na możliwości garażowego arsenału - ciśnieniu i temperaturze. Genialny, in spe, chemik planował uzyskać nadgrafen – substancję, o nieprzeciętnych właściwościach przewodzenia, odporności i lekkości. Jego serce musiało bić ze sto razy na minutę przy ciśnieniu 220/160, gdy wyłączał kocioł i przy pomocy rękawic do spawania zdejmował pokrywę. Kiedy para uleciała i mógł już zajrzeć do środka, zdjął maskę z okularami i zamarł. W metalowym naczyniu zobaczył ... brunatną, kleistą maź. Sięgnął szczypcami po fragment, chcąc się przekonać, że może choć odrobinę stężało i ma postać żelu, ale glut przelał się przez łopatki narzędzia i wrócił na swoje miejsce. Siemek był załamany. Stał umorusany nadglutem z pokrywką w ręce i napełniał się rezygnacją. Może stary ma rację i wszystko to psu na budę? Może trzeba przeprosić się z tą Skłodowską? Zająć się regeneracją filtrów cząstek stałych i katalizatorów? Postał tak jeszcze dobre siedem minut. Nie czuł rozpacz, nie zwykł szlochać ani przeklinać w zapalczącej złości. Po prostu stał zgarbiony bezwiednie czochrając się po głowie. Kiedy tętno wróciło do zwyczajowego zakresu, zaczął sprzątać. Odłożył na swoje miejsce pokrywę, porozkręcał uchwyty, wyczyścił narzędzia. Wreszcie złapał felerną rurkę, którą w panice i szale twórczym zatkał węglowym pionkiem, jednak wyciągnięcie elementu okazało się znacznie trudniejsze niż jego włożenie. Chwycił mocno i zaparł się, lecz mimo że nie był ułomkiem, nie dał rady wyciągnąć.

– A ty co, zbiesił się, ha? – Siemek zapytał pionka. Gdyby ten potrafił mówić, odpowiedziałby mu, że takiej wiejskiej gadki on nie rozumie, bo nie jest już byle smołuchem, co brudzi sadzą palce. Ale nie potrafił, więc Siemek wmontował szpetną końcówkę w imadło i potężnymi obcęgami złapał za spodnią część figurki. Trzasnęło. Wąż, który podczas eksperymentu zamienił się w sztywną rurkę rozpekł się był na drobne fragmenty. Obcęgista o silnych przedramionach był przekonany, że jeśli prawdą jest powiedzenie „słabsza kość pęka”, to w tym układzie spodziewał się raczej rozwalenia ojcowego pionka. Tymczasem gdy podniósł go obcęgami na wysokość swojej twarzy, zatrzymał się na kolejne siedem, a może i siedemnaście minut. Był to chyba dzień, w którym Siemek spędził rekordową ilość czasu w bezruchu. Stałby pewnie nadal, gdyby do warsztatu nie wszedł stary Marian.

– Starczy już tego dymienia na dzisiaj – zaczął gderać od wejścia. Wziąłbyś się za jakieś czyszczenie katalizatorów lub filtrów DPF. I co się tak gapisz w te obcęgi, jak wół w niemalowane wrota, ha? Syn nie odpowiedział staremu, tylko jak porcelanowa figurka na pozytywnie obrócił się wokół własnej osi w jego kierunku, na milimetr nie zmieniając układu swoich kończyn, a także do-kończyn czyli dodatkowych kończyn, jeśli tak można powiedzieć o obcęgach. Marian stanął jak wryty. Właściwie, to stanął wryty w częściowo porozpuszczaną podczas eksperymentów posadzkę w sensie ścisłym. Sekundy biegły. Słychać było tylko Radio Pogoda, w którym ktoś chciał wsiadać do byle jakiego pociągu. Mężczyźni stali naprzeciw siebie i oniemiały patrzyli na to, co znajdowało się w żelaznych objęciach

obcęgów. Kragły węgielek lśnił zimnym światłem jak jarzeniówka. Był przezroczysty jak kryształ.

– Ale, że jak? – stary pierwszy otrząsnął się i zaczął jąkać. Próbuując ręką oprzeć się o ślusarski stół, stracił jakieś blaszane elementy, które z łoskotem rozsypały się po podłodze. W normalnych okolicznościach zdążyłby połapać je, zanim uderzyły o podłogę, a w najgorszym przypadku podłożyć buta, by zaasekurować upadek. Teraz jednak nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi.

- Ale, że co?... - powtórzył przenosząc pytający wzrok na pierworodnego.

– A jak chciałeś grać samymi czarnymi? – odpowiedział Siemek. - Skoro jednak każesz skończyć dymienie...

- Czekaj, nie żartuj. Czy tobie udało się właśnie?..

– Właśnie się nie udało. Zamiast nadgrafenu wyszedł jakiś szlam. A to efekt uboczny.

– Ładny mi efekt uboczny – ojciec uśmiechnął się po raz pierwszy od wejścia do warsztatu. A może po raz pierwszy od wygranej naszej reprezentacji z Niemcami za trenera Nawalki, po golach Milika i Mili.

– Chyba zmienimy nazwę tego grajdołka z „Pralnia” na „Kopalnia”, co? – zapytał bez sensu.

Radość z przełomowego wynalazku nie trwała długo. Kilka dni później rozpoczęła się pełnoskalowa wojna. Obaj dostali przydział do jednostki piechoty. Mięsa armatniego trzeciego gatunku. Po kilku dniach walk armia straciła niemal połowę stanu osobowego. Żołnierze nie padali jednak od kul, ani odłamków rakiet, a od tajemniczego zatrucia. Największy pomór dotknął wojsk zmechanizowanych; praktycznie żaden czołg i pojazd wojskowy nie miał zdrowej obsady. Nie miał żadnej obsady. Podejrzewano sabotaż, ale zachodnie think-tanki szybko skojarzyły nadprogramowe zgony załóg z rozpylanym przez wielkie wentylatory gazem. Odkryto, że reagował on z cząstkami stałymi wydostającymi się z silników diesla i zamieniał je w śmiertelnie substancję, którą wdychali żołnierze. Paradoksalnie: im potężniejszym sprzętem dysponowała jednostka, tym szybciej ginęła jego obsługa. Nie pomagały maski ani filtry. Zanieczyszczenie powietrza cząstkami stałymi zbierało śmiertelne żniwo.

- Halo, słucham – Ryszarda odebrała telefon.

- Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z właścicielem firmy? - odezwał się głos w słuchawce.

- Nie zawracaj mi głowy, synku, tą fotowoltaiką swoją. Ja tu na rosół wstawiłam i szumy muszę zebrać – odpowiedziała odkładając słuchawkę. – A miałam nie odbierać zastrzeżonych połączeń – przypomniała sobie z wyrzutem. - Indukcja-srukcja, nawet cebuli nie mogę przypalić... Telefon po chwili znowu zadzwonił, Rysia nabrała powietrza do płuc, by rzucić wiązanek natrętnemu akwizytorowi. Ileż to już czasu zmarnowała na podobne wysłuchiwanie o korzyściach z odnawialnych źródeł energii? Tymczasem rosół szumi i jak tak dalej pójdzie - nie będzie klarowny.

- Mówi pułkownik Mariusz Zdzierski z dowództwa Sił Zbrojnych Ministerstwa Obrony Narodowej przy NATO. Dzwonię z polecenia prezydenta. – powiedział niski głos.

- A ja jestem Maria Curie- Skłodowska. Ale teraz nie mam czasu dla ruskich trolli. Do swidania! – gdyby zamiast smartfona rozmowa telefoniczna toczyła się przez stary model aparatu telefonicznego z tarczą do wykręcania numerów, to słuchawka wylądowałaby na widelkach z trzaskiem. Ryszarda wróciła do zbierania zwarzonego białka z powierzchni zupy.

- Chodźcie tu łabędzie, to wam dobrze będzie! – zapraszała szumowiny na łyżkę. Zanim do garnka trafiła kostka rosołowa, z oddali zaczęły dochodzić dźwięki syren. Zatrzymała się na chwilę, nad słuchując, czy to może alarm bombowy, lecz w miarę nasilania się dźwięków odetchnęła z ulgą rozpoznając w hałasie samochodowe koguty. Wróciła do kuchni, gdzie woda na makaron zaczynała wrzeć. Wyjęła z szafki kredensowej pudełko nitek i wsypała do garnka. Syreny były coraz głośniejsze. – Pali się gdzie u sąsiadów? – przeszło jej przez głowę, ale falujący tembr dźwięku nasilał się i wyraźnie nie chodziło o sąsiadów. Przez firankę zobaczyła błyskające światła na dachu radiowozu, ten – choć zwolnił - przejechał dalej i zatrzymał się przy kolejnej posesji. Ryszarda pomyślała o szabrownikach, o których bez przerwy mówili w telewizji, a przecież większość sąsiadów wyjechała. Za radiowozem stanęły kolejne auta, także z niebiesko-czerwonymi światłami. Na wysokości bramy zatrzymał się pojazd, którego Ryszarda scharakteryzowałaby jako duży czarny Tarpan z budą. Otworzyły się drzwi i z samochodu wyszło dwóch facetów w garniturach i jeden w mundurze. Z radiowozu dołączyli dwaj policjanci i cała grupa stanęła przed furtką. Zadzwoił domofon.

– Tak? - odezwała się niepewnie gospodyni.

- Jesteśmy z ministerstwa obrony, proszę otworzyć - usłyszała w słuchawce głos nieznoszący sprzeciwu. Nacisnęła przycisk na słuchawce i wróciła do kuchni. Zanim zdążyła zmniejszyć ogień pod gotującym się makaronem, rozległo się pukanie do drzwi, które też nie należało do nieśmiały.

– Dzień dobry, pułkownik Zdziarski – człowiek stojący najbliżej progu trzymał w wyciągniętej dłoni jakiś dokument ze zdjęciem. – Miałem przyjemność rozmawiać z panią przez telefon niedawno. Czy możemy wejść? – zapytał, ale nawet nie zaczął na odpowiedź. W przedpokoju zameldowała się już cała policyjno- wojskowo-garniturowa ekipa.

– Szukamy panów Mariana i Siemowita Cybulskich. Czy przebywają w tym domu? – zapytał. Ryszarda widziała już oczami wyobraźni, jak ci smutni panowie rozchodzą się po domu i rozpoczynają poszukiwania. A przecież w sypialni nie pościelone. I pranie „na czarne” rozbebeszone w łazience. Czego mogą chcieć, czy te niby diamenty, co zaczęli wygrzewać w garażu, to ta zbrodnia?

– Męża i syna nie ma, bo są we wojsku, jak pan Bóg przykazał. Zostali zmobilizowani. Człowiek w garniturze popatrzył na oficera z wyrzutem, a ten z kieszeni spodni wyjął telefon z szybkością wytrawnego rewolwerowca.

– Do jakiej formacji? – zapytał sucho.

– No, wojennej, czy wojskowej. Ja tam nie znam się na tych waszych formacjach.

– Kiedy? – padło kolejne rzeczowe pytanie.

- A będzie już ze dwie niedziele...

Marchewka zaczynała już szybciej krążyć wśród porcji rosołowych i rozmiękać. Pułkownik wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

– Z komendantem WKU. Zdziarski – w wypowiedziach pułkownika nie było zbędnych głosek.

Ryszarda przestała się martwić o potencjalnie nielegalną wytwórnę diamentów. Wyglądało to bardziej na poszukiwania dezterterów. Owszem, jej chłopcy nie palili się w kamasze, zwłaszcza jak młody odkrył ten swój kamień filozoficzny. Lecz mieli być w jakiejś rezerwowej grupie z dala od frontu. Czy naprawdę uciekli? Przecież w czasie Wu, to grozi... Ale czy szukaliby ich jacyś generałowie?

- Czy mogę wiedzieć o co chodzi? – zdecydowała się wreszcie zapytać.
- Czy pani mąż i syn prowadzili w cywilu warsztat Pralnia DPF zajmujący się regeneracją filtrów cząstek stałych i katalizatorów? - odpowiedział pytaniem człowiek w cywilu.
- Ano tak, chociaż... ostatnio trochę mniej – przypomniawszy sobie o eksperymentach syna.
- Są potrzebni naszej armii! – huknął wojskowy czy wojenny oficer.
- Tak, już to słyszałam, jak się rekrutowali.
- Nie w tym sensie. Nie chodzi nam o ich zdolność bojową na polu walki, ale wiedzę z zakresu zastosowania chemicznych środków do reakcji katalitycznych – wyrecytował żołnierz.
- To.. tak. Mają taką – ściągnęła brwi i wydeła usta kiwając głową.

Makaron nitki przestawał być al dente, a zaczynał molto cotta. W spodniach od munduru zadzwonił telefon. Pułkownik gestem podpatrzonym u Billego Kida wyciągnął go z kieszeni w ciągu dziesiętnej części sekundy i przyłożył do ucha. Nie odezwał się słowem i po chwili równie szybkim ruchem schował go do kieszeni - działając zgodnie z trzecią zasadą dynamiki: używając tego samego kierunku i siły, ale o przeciwnym zwrocie.

- Mają ich! – powiedział głośno do reszty towarzystwa i zanim Ryszarda zdążyła zaproponować im po talerzu domowego rosółu, rozległ się dźwięk zatraskiwanej furtki.

I tak przezroczysty Marian z Pralni DPF wraz z synem Siemkiem stali się ludźmi, którzy zdecydowali o losach załóg ciężkiego sprzętu wojsk sprzymierzonych, a kto wie, być może przez to i o losach wojny i świata. Gdyby komitet noblowski obradujący w następnym roku w sprawie przyznania pokojowej nagrody był jak konklawe, biały dym ukazałby się nad salą obrad jeszcze zanim podano do kawy cukierki z solonej lukrecji. Nieco dłużej temu szacownemu gronu zajęło przyznanie nagrody w dziedzinie chemii. Tutaj uzasadnienie brzmiało: „Za stworzenie rewolucyjnej teorii procesu oddziaływania inhibitorów konwertazy węglowych cząstek”. Profesor Myśliwski z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego tłumaczył w telewizji, że chodzi o neutralizację ruskiego gazu, który truć naszych czołgistów. Nie wspomniał, że laureata nagrody uwalili na pierwszym roku za spóźnianie się na jego zajęcia.

Rok później profesor Myśliwski znów był na ekranach telewizorów i urządzeń mobilnych w całej Polsce. Tym razem opowiadał ze swadą, dlaczego drugiego Nobla z chemii przyznano pracownikom od PDF-ów, którzy spalinowy szlam przerabiali na diamenty. „Za wynalezienie tynktury, zwanej w kręgach zbliżonych do Zosimosa z Panopolis – xerionem”.

- Chodzi o to – mówił o kamieniu filozoficznym - że w szachach potrzebne są nie tylko czarne pionki.

Gdy Ryszarda po raz kolejny odebrała połączenie z kierunkowym numerem Sztokholmu, odrzekła że: „chłopy in de garaż”. W wieczornych wiadomościach profesor Myśliwski z ekranu zachwycał się właściwościami nadgrafenu, który dał polskiemu duetowi: ojciec – syn trzecią nagrodę z rzędu. - Niech żyje polska nauka, vivat academia, vivant professores! – zakończył wzruszony swoją laudację, a prowadzący specjalne wydanie dziennika prezydent zaprosił widzów na blok reklamowy.